

JULIA BRYLEWSKA

Dream
a Little
Dream
of Me



Dream a Little Dream of Me

Yiruma
김현영 편곡

♩ = 70

The first system of the piano accompaniment consists of two staves. The right hand plays a series of chords in a 4/4 time signature, starting with a C major chord and moving through various intervals. The left hand plays a simple bass line with quarter notes.

The second system continues the piano accompaniment. The right hand features a more active melody with eighth notes and quarter notes, while the left hand provides harmonic support with chords.

The third system introduces a triplet in the right hand, marked with a '3' above the notes. The left hand continues with a steady bass line.

The fourth system continues the piano accompaniment with a similar melodic and harmonic structure to the previous systems.

The fifth system concludes the piano accompaniment, featuring a final triplet in the right hand and a resolving bass line in the left hand.

Copyright © 2024
Julia Brylewska
Wydawnictwo NieZwykłe
All rights reserved
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja:

Anna Strączyńska

Korekta:

Karina Przybylik

Karolina Piekarska

Maria Klimek

Redakcja techniczna:

Paulina Romanek

Projekt okładki:

Paulina Klimek

Druk i oprawa:

Abedik S.A.

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8362-206-4

JULIA BRYLEWSKA

**DREAM A LITTLE
DREAM OF ME**

OŚWIĘCIM 2024

*Dla wszystkich zagubionych dusz,
które w mroku tego okrutnego świata
nieustannie starają się odnaleźć odrobinę szczęścia.*

Od Autorki

Drogi Czytelniku!

Dream A Little Dream Of Me jest sequelem, który łączy dwie wcześniej napisane przeze mnie serie – Trylogię „Inferno” (w jej skład wchodzi następujące książki: *Devil*, *Angel* oraz *Sinner*) a także dylogię „Gods Of Law” (*Angry God* oraz *Angry Goddess*).

Dream A Little Dream Of Me **można czytać bez znajomości wyżej wymienionych tytułów**, lecz jeżeli masz w planach zabrać się również za którąś z moich serii, polecam zacząć właśnie od nich, aby uniknąć ewentualnych spoilerów, na które natrafisz w tej historii.

Przyjemnej zabawy!

Julia ♪

I

The right music at the right time can change your life.

– Eric Christian



O tym, jak mały chłopiec zakochał się w fortepianie

16 lat wcześniej

Hayden, jak większość siedmiolatków, marzył o tym, aby pójść z tatą na mecz amerykańskiego futbolu. Chciał zjeść przesolony popcorn na Sid Luckman Field¹ i na własne oczy zobaczyć pierwszy występ Aarona Rodgersa pod skrzydłami Jetsów².

Potem mógłby opowiadać o tym kolegom ze szkoły, podobnie jak robił to Charlie Evans z trzeciej klasy, którego tata zabierał na mecze praktycznie w każdy weekend, dając mu kolejne tematy

¹ Sid Luckman Field – boisko futbolowe na Brooklynie, w Nowym Jorku (przy. aut.).

² New York Jets – zawodowy zespół futbolu amerykańskiego z siedzibą w New Jersey (przy. aut.).

do przechwałek. Dzięki nim Charlie uchodził w szkole za kogoś fajnego.

Hayden jednak doskonale wiedział, że jego tata bardzo różnił się od taty Charliego Evansa. Różnił się właściwie od wszystkich ojców jego kolegów. Nie chodziło tylko o fakt, że niemal nigdy nie pokazywał się bez ulubionego czarnego garnituru, ani o to, że praktycznie na każdej wywiadówce wdawał się w kłótnie z nauczycielami, zawsze stając po stronie syna, jakby nie chciał uwierzyć, że ten był w stanie włamać się do dziennika i wpisać sobie kilka dobrych ocen. Hayden zrobił to tylko raz i wcale nie żałował.

Oliver Sanclair tak bardzo różnił się od innych ojców, bo w sobotni wieczór zamiast zabrać syna na mecz futbolu, o którym ten tak marzył, wziął go do filharmonii. Do miejsca pełnego ciszy, eleganckich strojów i starszych ludzi, którzy posyłali Haydenowi pełne oburzenia spojrzenia za każdym razem, gdy ośmielił się po raz kolejny zapytać: *Za ile stąd pójdziemy?*

Chłopiec odwiedził filharmonię raptem dwa lub trzy razy – starał się wyrzucić te traumatyczne przeżycia z pamięci. I każdy z tych wieczorów wspominał z grymasem na twarzy. Nigdy nie rozumiał, dlaczego rodzice tak lubili spędzać tam czas.

Może bycie nudnym po prostu leżało w naturze każdego dorosłego? To by wyjaśniało, dlaczego przed snem tata wolał oglądać seriale dokumentalne, a nie kreskówki. I dlaczego mama co rano piła czarną kawę zamiast soku pomarańczowego.

Hayden nie krył rozczarowania, gdy z za samochodowej szyby dostrzegł oświetlony żółtym światłem budynek. Kształtem przypominał klocek Lego, który chłopiec zgubił kilka tygodni temu – był kwadratowy, a ogromny dach z każdej strony wsparty dziesięcioma filarami. Wyróżniał się na tle innych budowli okalających Lincoln Center³ – błyszczał o wiele bardziej niż sza-

³ Lincoln Center – kompleks budynków znajdujący się w obrębie dzielnicy Lincoln Square na Manhattanie. W jego skład wchodzi m.in.: Filharmonia Nowojorska, Metropolitan Opera i New York State Theater (przyp. aut).

re wieżowce, czy pobliskie bary i lokale usługowe, których właściciele zapewne wydawali fortunę, by przebić się przez blask serca nowojorskiej dzielnicy sztuki. Kompleks budynków przyćmiewał wszystkie z nich, jakby w tej niewypowiedzianej bitwie nawet na moment nie pozwalał dojść im do głosu.

– Nie rób takiej naburmuszonej miny, Haydenie.

Chłopiec oderwał wzrok od okna, odwrócił wspartą na ręczce głowę i obdarzył ojca spojrzeniem, ciężko wzdychając, jakby chciał dać upust rozczarowaniu.

Oliver Sanclair miał na sobie czarny garnitur. Hayden czasami zastanawiał się, czy tata także w nim sypiał, ale dotąd nie pokuślił się, by o to zapytać.

– Nie chcę jechać do filharmonii – odburknął, krzyżując ramiona. – Tam jest strasznie nudno i nie ma popcornu.

– To nie potrwa zbyt długo – zapewnił tata. – Porozmawiam z klientem, a potem zabiorę cię...

– Na lody? – wtrącił chłopiec, odzyskując dobry humor.

Oliver obdarzył syna lekkim uśmiechem. Nie wiedział, czy był dobrym ojcem, choć ze wszystkich sił się o to starał. Wychowywał się w domu dziecka, więc nie miał wzoru, jakim mógłby się kierować. Błądził na ślepo, niekiedy popełniając błędy, jak wszyscy ojcowie.

Spędzał całe dni w kancelarii lub w sądzie. Często pracował także w weekendy. I w każdej wolnej chwili – choć takie w ostatnim czasie zdarzały się wyjątkowo rzadko – próbował być takim ojcem, jakiego sam zawsze pragnął mieć. Nawet jeżeli czasami musiał naginać niepisane, rodzicielskie zasady jak ta, że nie powinno się dawać dzieciom lodów w środku zimy.

– Tak – odpowiedział, dając za wygraną. – Lody brzmią całkiem dobrze.

Hayden znów wyrzwał przez okno, tym razem z delikatnym uśmiechem na dziecięcej twarzy.

Choć nie zdawał sobie z tego sprawy, był kopią taty, gdy ten był w jego wieku – te same ciemne, gęste włosy, bystre spojrzenie i wręcz zadziwiające zamiłowanie do zadawania pytań, na które większość dorosłych nie potrafiła udzielić odpowiedzi. *Dlaczego głowa jest na górze, a nogi na dole? Po co nam brzydkie słowa, skoro nie możemy ich wypowiadać? Czy ludzie mieszkający po drugiej stronie Ziemi chodzą do góry nogami?*

Istniało jednak coś, w czym Hayden bardzo różnił się od ojca – ostatnim, czego pragnął, było zostanie prawnikiem. Chwile, kiedy chłopiec myślał o przyszłości, zdarzały się niezwykle rzadko. Wciąż był dzieckiem i jedynym, co zaprzętało jego głowę, było zaimponowanie kolegom lub ukrycie przed rodzicami kolejnej kiepskiej oceny.

Bywało, że takie chwile jednak się zdarzały – zwykle w czasie, kiedy z grymasem obrzydzenia przesuwiał groszek po talerzu. Hayden unosił wtedy głowę, zerkał na puste miejsce przy krańcu stołu, które powinien zajmować jego ojciec, i myślał o tym, jak bardzo nie chciał wieść podobnego życia. Pełnego obowiązków, pracy i tych smętnych czarnych garniturów.

Pragnął zostać kimś innym. Nie wiedział jeszcze kim, ale miał sporo czasu, aby to odkryć.

Na razie liczyło się tylko to, że mimo panującego na zewnątrz zimna będzie mógł zjeść ulubione lody, nawet jeśli najpierw musiał przetrwać wycieczkę do filharmonii. Wiedział, że mama by się na to nie zgodziła. Pod względem przesadnej nadopiekuńczości nie miała sobie równych.

Przez resztę drogi w ciągnącym się na prawie dwa kilometry korku Hayden myślał o tym, na jaki smak się zdecyduje – czekolada czy może guma balonowa?

W radiu mężczyzna o ochryłym głosie zapowiadał, że tej nocy Nowy Jork miała nawiedzić kolejna fala opadów śniegu. Od ponad tygodnia z nieba nieprzerwanie sypał biały puch i wszyscy zdawali się już zaakceptować taki stan rzeczy. Wycie-

raczki spychały śnieg z przedniej szyby białego porsche. Gdzieś w oddali zniecierpliwiony kierowca zatrafił, dając upust irytacji.

Choć umykało to dziecięcym oczom Haydena, sobotnie wieczory w sercu Manhattanu miały w sobie coś magicznego. Zatłoczone ulice tętniły życiem nawet teraz, gdy temperatura na zewnątrz była bliska zera. Na chodnikach można było spotkać muzyków, którzy dbali o to, aby przy Lincoln Center nawet na moment nie zagościła cisza. Dźwięki skrzypiec mieszały się z nawoływaniem mężczyzny starającego się złapać jedną ze stojących w korku żółtych taksówek. Nieco dalej kobieta z gitarą pięknym głosem śpiewała jeden z hitów Whitney Houston – *I Have Nothing*.

Nowy Jork był miastem, które nigdy nie kładło się spać.

Chłopiec milczał, gdy auto wjechało na podziemny parking, a także chwilę później, kiedy z tatą wsiedli do windy. Wnętrze filharmonii nie było dla niego niczym zachwycającym. Czerwone, misternie zdobione dywany i błyszczące żyrandole wydawały mu się niemal babcine. Jego trampki ślizgały się po starannie wypolerowanej, marmurowej posadzce, przez co trudno mu było nadażyć za stawianymi przez ojca krokami.

U szczytu szerokich i nieznośnie długich schodów czekał na nich Andre Brown, dyrektor nowojorskiej filharmonii. Był człowiekiem niezwykle pogodnym i zawsze witał Haydena tymi samymi słowami:

– Ależ wyrosłeś, chłopcze!

Pan Brown przypominał George'a Wilsona – miał podobne do niego gęste, czarne wąsy, głębokie zmarszczki na twarzy i tak jak bohater filmu *Dennis Rozrabiaka* lubił do szarych garniturów dobierać kolorowe krawaty.

– Pan też trochę się postarzał – odpowiedział chłopiec.

Oliver posłał synowi karcące spojrzenie.

– Haydenie.

– Nie szkodzi – zapewnił z ciepłym uśmiechem dyrektor. – Nie możemy odebrać mu racji, w końcu nie młodnieję, prawda? – Zaśmiał się. – Przejdziemy do mojego gabinetu? Chciałbym załatwić tę sprawę przed pierwszym koncertem.

– Oczywiście.

„Ta sprawa” była, jak przypuszczał chłopiec, kłopotami dyrektora filharmonii, o których rodzice wspominali kilka razy podczas śniadania. Zwykle nie słuchał, gdy mówili o pracy, ale tego poranka skończyły się jego ulubione płatki czekoladowe i wszystko wydawało się ciekawsze niż owsianka.

Gabinet pana Browna mieścił się na pierwszym piętrze. Aby się do niego dostać, należało pokonać nieznośnie długi korytarz wyłożony tym samym czerwonym dywanem, co schody, które witały gości po wejściu do filharmonii.

Podczas trwającej kilka minut wędrówki można było usłyszeć dobiegające zza drzwi dźwięki skrzypiec, wiolonczeli, równe rytmy puzonów, a także przebijający się przez nie piskliwy głos operowej śpiewaczki, który sprawił, że na twarzy Haydena za gościł grymas.

Kiedy w końcu dotarli do gabinetu, dyrektor zwrócił się do sekretarki:

– Cindy, zajmiesz się Haydenem?

Starsza kobieta w eleganckiej białej koszuli i ołówkowej spódnicy posłała chłopcu uśmiech podobny do tych widywanych na twarzach przesadnie miłych nauczycielek, które zachowują się tak, jakby urodziły się tylko po to, aby zajmować się dziećmi.

– Z przyjemnością.

Hayden zerknął na tatę. Chciał obiecać, że nie będzie przeszkadzał podczas rozmowy, byle tylko nie zostawiał go samego z tą straszną kobietą. Ale było już za późno – zarówno Oliver Sanclair, jak i pan Brown zniknęli za drzwiami opatrzonymi złotą tabliczką z napisem: *Dyrektor*.

Tymczasem Cindy wstała zza biurka.

– Chcesz zobaczyć, jak niszczy tu stare dokumenty? – zapytała, odwracając się w stronę niszczarki.

Na twarzy Haydena odznaczył się kolejny grymas. Jego ramiona nieznacznie opadły, gdy z płuc wyrwało się pełne irytacji westchnienie. Pomyślał o lodach, które obiecał mu tata, i po raz pierwszy w jego umyśle narodziło się pytanie, z jakim przez następne lata nieustannie się mierzył. Być może niektóre nagrody nie były warte aż takich poświęceń?

Chłopiec powiódł wzrokiem za kobietą, gdy ta z uśmiechem chwyciła plik kartek i wsunęła je do niszczarki.

– To całkiem wciągające, wiesz? Jeżeli chcesz, pozwolę ci spróbować. Mam jeszcze sporo dokumentów do... – rzuciła przez ramię.

Hayden już jednak nie słuchał. Korzystając z okazji, że kobieta stała odwrócona do niego tyłem, bezszelestnie wymknął się na korytarz. Następnie ruszył wzdłuż rzędu podobnych do siebie drzwi, zza których dobiegały stłumione dźwięki instrumentów.

Idąc przed siebie, z dłońmi głęboko wepchniętymi w kieszenie spodni i ze spuszczoną głową, pomyślał o Charliem Evansie, o meczu Jetsów i o przesolonym popcornie. Znów poczuł tak dobrze mu znane uczucie niesprawiedliwości.

Hayden kochał rodziców, ale czasami chciał, by byli trochę mniej... niezwykli. Aby nie pracowali do późna, nie udzielali wywiadów w telewizji i nie pojawiali się na pierwszych stronach nowojorskich gazet. No i nie zabierali go do filharmonii, kiedy Aaron Rodgers debiutował na Sid Luckman Field.

Chłopiec skręcił w lewo i przystanął, gdy na końcu kolejnego korytarza dostrzegł automat z wodą i przekąskami. Poczł się jak szczęściarz, który po długiej wędrówce po pustyni wreszcie odnalazł źródło wody i odrobinę cienia.

Nie myśląc zbyt wiele, podbiegł do automatu. Przesunął spojrzeniem po rzędzie czekoladowych batoników, a jego szeroki uśmiech odbił się w szybie. Sięgnął do kieszeni spodni i wyjął

z niej pięciodolarowy banknot. Wygładził jego zmięte brzegi, wsunął podobiznę Abrahama Lincolna do automatu, po czym wybrał odpowiedni numer. Niemal przyciskając czoło do szyby, z uśmiechem patrzył, jak paczka niebieskich Takisów⁴ przesuwa się w przód, a następnie zatrzymuje się tuż przed jego nosem.

Uśmiech spłynął z twarzy Haydena równie szybko, jak się na niej pojawił.

– Co za szajs! – jęknął.

Odwrócił się, oparł plecy o automat i ze zmarszczonymi w złości brwiami po raz kolejny pomyślał o tym, że Charlie Evans siedział na stadionie, zjadając się popcornem i pijąc obrzydliwie słodką colę z dużego papierowego kubka.

Robił wszystko, o czym Hayden mógł tylko marzyć.

Niespodziewanie ciszę przerwał dziwaczny i obcy dźwięk. Nie byłoby w tym niczego nadzwyczajnego, bo w miejscu takim jak to nieustannie roznosiły się melodie, krążyły odgłosy rozmów czy barytony i soprany śpiewaków.

W tym dźwięku kryło się jednak coś, czego pośród tych niekończących się korytarzy nie spotykało się z taką łatwością – stłumiona przez ściany melodia wydawała się nie tyle czarująca, co po prostu... ludzka. Żywa. Nieidealna. Nie wyćwiczona do perfekcji.

Chłopiec odepchnął się od automatu z przekąskami i podążył za tym dźwiękiem. Niezwykle rzadko coś zdołało zaciekawić go na tyle, by z taką łatwością zapomniał o słodyczach. Już po chwili znalazł się w kolejnym korytarzu. Jego trampki z każdym krokiem zatapiały się głębiej w miękkim, szkarłatnym dywanie. Chłopiec szedł jednak uparcie przed siebie.

Nie wiedział, w którym skrzydle budynku się znalazł. Filharmonia wydawała mu się niekończącym się labiryntem. Z całą pewnością oddalił się od głównego wejścia, przy którym kręciło się najwięcej ludzi. Tutaj nie spotkał nikogo oprócz kilku zaku-

⁴ Takisy – popularne w Stanach bardzo ostre chrupki kukurydziane (przy. aut.).

rzonych rzeźb przedstawiających ludzi zastygłych w groteskowych pozach.

Melodia przybrała na sile. Nie była już tylko niewyraźnym echem, a czymś, czego położenie mógł określić i odnaleźć. Po dotarciu do dwuskrzydłowych drzwi, które stanowiły zwieńczenie korytarza, delikatnie je popchnął, pozwalając, by stare zawiasy wydały zduszony jęk.

Z natury był ciekawskim dzieckiem, co już nie raz wpakowało go w kłopoty. Jak wtedy, kiedy po usłyszeniu hałasów z sypialni rodziców postanowił do niej zajrzeć. Potem bardzo tego żałował.

Wsunął głowę do pomieszczenia zadziwiająco dużego i... pustego. Z trudem można było doszukać się tu czegoś poza masą zakurzonych kartonów. W jego sercu, za ogromnym, błyszczącym w słabym blasku żółtych lamp instrumentem siedział starszy człowiek, którego wygląd nie pasował do pełnego przepychu wnętrza filharmonii. Wątle ramiona starca pokrywała szara koszula, nieco za duża jak na jego mizerną posturę. Na pomarszczonej twarzy widniał lekki uśmiech.

Hayden miał okazję odwiedzić filharmonię kilka razy, co w zupełności wystarczyło, aby zauważył, że w tym miejscu ludzie się nie uśmiechali, jakby po przekroczeniu progu ktoś odebrał im radość i zastąpił ją przerysowaną powagą.

Mężczyzna, na którego patrzył, uśmiechał się jednak z zadziwiającą szczerością, jakby nie istniało inne miejsce, w jakim pragnąłby być. Pochylony nad rzędem czarno-białych klawiszy, z na w pół przymkniętymi powiekami, grał melodię, za sprawą której chłopiec trafił do jednego z najbardziej zapomnianych zakamarków tego budynku.

Czysty dźwięk roznosił się w przestrzeni. Zdawał się dotykać ścian, muskać zawieszane na suficie czerwone płótna i sunąć po podłodze. Był wszędzie, wirując i krążąc bez umiaru, by niespodziewanie zniknąć. Zdawało się, że jego echo jeszcze przez kilka sekund pobrzmiwa między pustką a ciemnością.

Gdy Hayden zerknął w kierunku starca, ten patrzył na niego małymi, ciemnymi oczami.

Chłopiec przełknął głośno ślinę i cofnął się o pół kroku, mając wrażenie, że nie powinno go tu być.

– Zgubiłeś się? – zapytał mężczyzna.

– Nie – odpowiedział zgodnie z prawdą. – Uciekłem.

Na twarzy starca pojawił się ciepły uśmiech.

– Jeżeli mowa o uciekaniu, zapewniam, że nie ma lepszego miejsca niż to, do którego trafiłeś, chłopcze. – Z lekkim grymasem bólu powoli wstał. – Od lat praktycznie nikt tu nie zagląda.

– Oprócz pana.

– Tak – zgodził się. – Oprócz mnie. Podobało ci się, jak gram?

Hayden wzruszył ramionami. Wcześniejsza obawa ustąpiła miejsca ciekawości.

– Nie znam się na muzyce.

– Och, ależ nie musisz się na niej znać, żeby móc stwierdzić, czy przypadła ci do gustu.

– Była okej. Chyba.

– Uznam to zatem za komplement. – Zaśmiał się, po czym pochylił i sięgnął po skrzynkę z narzędziami.

Hayden nie spuszczał z niego wzroku. W końcu kompletnie zapomniał o obawach, otworzył drzwi nieco szerzej i wsunął się do środka. W pomieszczeniu pachniało kurzem i drewnem, a zalegające w nim powietrze wydawało się nieznośnie ciężkie i wilgotne.

– Jest pan muzykiem? – zapytał.

– Nie. Zajmuję się strojeniem instrumentów.

– Strojeniem? – powtórzył z zaciekawieniem.

– To trochę jak lekarz. Dbam o to, by każdy instrument w tym budynku wydawał z siebie dźwięk najwyższej jakości.

Stare deski podłogi zaskrzypiały, kiedy chłopiec zatrzymał się nieopodal instrumentu. Przyjrzał mu się uważnie, co nie umknęło uwadze mężczyzny.

- Jak ci na imię?
- Hayden, proszę pana – odparł.
- Ja jestem Richard. Grałeś kiedyś na fortepianie, Haydenie?
- Czy to nie jest instrument dla dorosłych? – zapytał, wywołując kolejny uśmiech na twarzy starca.
- Chopin skomponował pierwszy utwór, gdy miał zaledwie siedem lat.

Hayden zmarszczył brwi. Z trudem umiał spamiętać tabliczkę mnożenia, a większość jego kolegów z klasy wciąż miała problem z przeczytaniem kilku stron książki, więc śmiał sądzić, że historia o siedmioletnim geniuszu była zmyślona.

Dorośli nie mieli sobie równych w wymyślaniu niestworzonych opowieści.

- Chcesz spróbować? – zaproponował Richard.
- Nie wiem. Tata będzie zły, jeżeli coś tutaj popsuję.
- No i nici z lodów, pomyślał.*
- Tylko jeżeli się o tym dowie. Masz moje słowo, że będę milczał jak grób. – Mężczyzna przyłożył jedną dłoń do serca, a drugą rękę oparł na drewnianej kłapie instrumentu. – Jeżeli natomiast chodzi o ten fortepian... – Zawiesił na moment głos, przesuwając palcami po drewnie. – Trafił tutaj zaraz po drugiej wojnie światowej, chłopcze. Nie wiemy, co działo się z nim wcześniej. Więc jak sam widzisz, przeszedł naprawdę wiele. Raczej nie jesteś w stanie mu zaszkodzić.

Hayden zerknął niepewnie na starca. Wahał się tylko przez chwilę.

- Naprawdę mogę? – spytał.
 - Śmiało.
- Chłopiec wdrapał się na podest. Obszedł fortepian, uważnie mu się przyglądając. Obudowa z ciemnego drewna wiele lat temu straciła blask. Niektóre klawisze były zapadnięte, inne odzieniem przypominały bardziej szarość betonu niż biel. Niegdyś

dumnie błyszczące złote litery układające się w napis Petrof⁵ wyblakły tak bardzo, że były już niemal niewidoczne.

Hayden usiadł niezgrabnie na obitym czarnym welurem stołku. Przesunął spojrzeniem po rzędzie czarno-białych klawiszy, zastanawiając się, ile ich jest.

Richard, jakby był w stanie usłyszeć zadane w myślach pytanie, powiedział:

– Osiemdziesiąt osiem. Pięćdziesiąt dwa białe i trzydzieści sześć czarnych. Zdarzają się także fortepiany z mniejszą liczbą klawiszy, ale w filharmonii zwykle z nich nie korzystamy. Raczej nie znajdziesz tutaj instrumentu, który nie ma koncertowych rozmiarów.

Chłopiec spojrział na starca. W półmroku jego przyozdobiona zmarszczkami twarz wydawała się dziwnie niewyraźna. Był jednym z tych ludzi, obok których inni przechodzili obojętnie, nawet ich nie dostrzegając.

– Co to za miejsce? – zapytał chłopiec.

Richard się rozejrzył. W pomieszczeniu nie było okien, a blask padający z zawieszanej na suficie lampy z trudem oświetlał coś prócz fortepianu i kawałka podłogi.

– Wszyscy nazywają to graciarnią. Właśnie tu trafiają stare instrumenty, które nie nadają się do używania podczas koncertów.

Hayden zmarszczył brwi.

– Czy nie lepiej się ich pozbyć, skoro i tak są martwe?

Na szarej twarzy Richarda znów zagościł ten rodzaj uśmiechu, który pewni szczęśliwcy mają okazję ujrzeć tylko kilka razy w życiu. Było w nim wiele zrozumienia i tyle samo szczerości, co zwykłej, tak rzadko spotykanej życzliwości.

– Fortepiany nie umierają – odrzekł. – A ten tutaj, mój drogi, ma w sobie o wiele więcej życia, niż mógłbyś przypuszczać. Sam spróbuj. Zagraj coś na nim.

– Nie potrafię – odparł chłopiec.

⁵ Petrof – wywodzące się z Czech przedsiębiorstwo produkujące fortepiany, które działa od 1864 roku (przyp. aut.).

– Skąd możesz to wiedzieć, skoro nigdy nie próbowałaś?

Hayden przeniósł wzrok ze starca na rząd klawiszy. Kiedy miał ich dotknąć, wydały mu się o wiele bardziej przerażające niż chwilę wcześniej.

– Śmiało, chłopcze – zachęcił pogodnie Richard. – Co złego może się wydarzyć? W najgorszym wypadku zagrasz coś tak okropnego, że Mozart przewróci się w grobie. Nic ponadto.

Chłopiec wziął głęboki wdech, po czym uniósł drobne dłonie i wreszcie opuszkami palców dotknął kilku białych klawiszy. Ten pełen nieśmiałości i niepewności ruch wystarczył, aby ściany pomieszczenia ponownie wypełniły dźwięki. Nie układały się w melodię i przypominały niepasujące do siebie połączenie kilku nut, ale zdołały wywołać na jego twarzy szeroki uśmiech.

Było coś niebywale magicznego w tym, że za sprawą kilku ruchów palców udało mu się przepędzić nużącą ciszę i wypełnić pokój brzmieniem. Jego echo trwało jeszcze przez chwilę, nawet gdy Hayden odsunął dłonie od fortepianu, zamknął oczy i z drżeniem wypuścił powietrze.

Zupełnie jakby muzyka nie chciała odejść. Jakby raz zaproszona, pragnęła zagościć tu na dobre.

Kiedy chłopiec powoli uniósł powieki i spojrzał na Richarda, ten po raz kolejny obdarzył go łagodnym uśmiechem.

– Widzisz? Nie trzeba grać jak Chopin czy Beethoven, żeby czerpać z tego radość. Wystarczy... – Zawiesił głos i powiódł dookoła wzrokiem. – Odrobina ciszy, trochę samotności i stary fortepian.

Hayden nie odrywał spojrzenia od starca.

Dopiero wiele lat później miał przekonać się, jak niewielu ludzi podobnych do Richarda uchowało się jeszcze w tym zepsutym świecie. Nikt nie potrafił już doszukiwać się piękna w rzeczach najprostszych i najbardziej przyziemnych.

Mężczyzna zastukał palcami w drewnianą obudowę instrumentu.

– I jak? Podobało ci się? – zapytał.

– Tak – odpowiedział bez wahania chłopiec.

– W takim razie obawiam się, że już nie ma dla ciebie ratunku, mój drogi.

– Słucham?

– Gdy fortepian raz skradnie twoje serce, już nigdy nie będziesz w stanie mu się oprzeć. Kto wie? Może właśnie mam przed sobą drugiego Chopina.

Na twarz Haydena wkradł się kolejny uśmiech.

Nagle zza drzwi oddzielających to zapomniane pomieszczenie od bogatych korytarzy filharmonii dobiegł stłumiony głos:

– Hayden!

Siedmiolatek westchnął.

– To mój tata – odparł, zeskakując ze stołka. – Muszę już iść. Dziękuję, że pozwolił mi pan zagrać na fortepianie.

– Cała przyjemność po mojej stronie, chłopcze.

Idąc w stronę drzwi, Hayden zawahał się kilka kroków przed wyjściem. Odwrócił głowę i po raz ostatni zerknął na Richarda, który pakował narzędzia do skrzynki.

W tamtej chwili nie mógł wiedzieć, że wiele lat później pewnego deszczowego dnia znów przyjdzie mu stanąć w tym opuszczonym i dawno zapomnianym pokoju. Wówczas odnajdzie w nim to, czego będzie mu trzeba – ciszę, samotność i kilka niewypowiedzianych słów.

– Jak się nazywała? – zapytał.

Mężczyzna uniósł wzrok.

– Melodia, którą pan grał – wyjaśnił chłopiec.

– Och, no tak. – Wytarł dłonie o materiał koszuli. – To *Dream A Little Dream Of Me*. Spodobała ci się?

– Była okej – odpowiedział.

Richard znów się uśmiechnął.

Hayden odwrócił się, nie podejrzewając, że spotkanie z tym człowiekiem miało na zawsze odmienić jego życie, po czym popchnął drzwi i wyszedł na korytarz.

Minął automat z przekąskami, nie poświęcając mu spojrzenia, i wrócił do głównego holu, gdzie natknął się na tatę.

– Szukałem cię – poinformował typowym dla siebie ojcowskim tonem. – Cindy o mało nie dostała zawału, kiedy się zorientowała, że zniknąłeś.

– Chciałem znaleźć toaletę – skłamał.

– Dlaczego nie poprosiłeś jej o pomoc?

Chłopiec wzruszył ramionami.

– Wydawała się bardzo zajęta niszczeniem dokumentów.

Oliver pokręcił głową.

– Chodźmy. – Skierował się w stronę schodów. – Wybrałeś już smak lodów?

Hayden z zaskoczeniem odkrył, że zapomniał nie tylko o obiecanych lodach, ale także o meczu Jetsów i o Aaronie Rodgersie.



– Tylko nie mów o tym mamie, dobrze? Gdyby dowiedziała się, że w taką pogodę dałem ci się namówić na lody, przez następny tydzień musiałbym spać na kanapie. Powiedzmy, że to będzie nasz mały sekret.

Chłopiec odebrał od ojca lody. Po kilku minutach bicia się z myślami – które zirytowały sprzedawczynię i paru czekających w kolejce klientów – stanęło na gumie balonowej.

Niekiedy najprostsze rozwiązania były tymi najwłaściwszymi.

– Jasne, tato.

Hayden był mistrzem w dochowywaniu sekretów. Wciąż nie zdradził tacie, że w poprzedni weekend podczas zakupów mama kupiła sukienkę, która „była zbyt droga, by mogła powiedzieć o tym tacie”. Jak jej wówczas obiecał, nie pisał o tym słowem.

Ruszyli w drogę powrotną do zaparkowanego kilkanaście metrów dalej samochodu.

Śnieg padał z ciemnego nieba drobnymi, ledwie widocznymi płatkami, które połyskiwały w świetle ulicznych lamp. Mimo że stosunkowo późna pora i pogoda nie sprzyjały opuszczaniu ciepłego mieszkania, minęli wielu spacerowiczów.

Mężczyzna ze skrzypcami i kobieta śpiewająca piosenki Whitney Houston stali obok siebie i ze śmiechem popijali gorącą herbatę z tekturowych kubków.

– Tato? – zapytał Hayden.

– Tak?

– Od zawsze wiedziałeś, że zostaniesz prawnikiem?

Oliver spojrział na syna z góry. Marszcząc ciemne brwi w zamysleniu, odpowiedział:

– Tak sądzę.

– Mhm.

Mężczyzna znał syna zbyt dobrze, by nie domyślić się, że za tym pytaniem kryło się coś więcej niż zwykła dziecięca ciekawość.

– To w porządku, jeżeli jeszcze nie wiesz, kim chcesz być w przyszłości. Nie dorastaj zbyt szybko, Haydenie.

– Dlaczego nie?

– Bo gdy dorosniesz, ja się zestarzeję. No i nie będę już tak łatwo dawał się namówić na lody w środku zimy.

Chłopiec zareagował grymasem niezadowolenia, który wywołał u Olivera lekki uśmiech. W sercu mężczyzny zrodził się załazek bólu. Sam był dzieckiem zbyt krótko i nie chciał, aby Haydena spotkał podobny los.

– Wiem, kim chcę zostać, tato – oznajmił nagle.

– Doprawdy?

Oliver spodziewał się, że jego syn zapragnie związać przyszłość z prawem lub zostać piłkarzem jednej z drużyn piłkar-

skich, których plakaty zdobiły ściany jego pokoju. Nie krył więc zdziwienia, gdy chwilę później nadeszła odpowiedź:

– Zostanę fortepianistą!

Mężczyzna nie zdołał powstrzymać pełnego rozbawienia uśmiechu, który zagrościł na jego zwykle poważnej i niewzruszonej twarzy.

– Fortepianistą? – powtórzył.

– Tak. Będę grał na fortepianie.

– Więc zostaniesz pianistą – poprawił go.

– Przecież właśnie to powiedziałem. Nie słuchasz mnie, tato! – oburzył się.

Oliver Sanclair skrzyżował dłonie za plecami. Niekiedy dostrzegał w Haydenie o wiele więcej samego siebie, niż mógłby podejrzewać.

Zbliżyli się do zaparkowanego przy ulicy białego porsche. Śnieg zaczynał sypać z nieba coraz mocniej, okalając pobliskie ławki białym puchem.

– W takim razie, gdy zagrasz pierwszy koncert, zajmę miejsce w rzędzie najbliższej sceny i będę klaskał najgłośniej ze wszystkich.

Hayden spojrzał na tatę.

– Obiecujesz? – zapytał.

– Tak, Haydenie. Obiecuję.

Po tych słowach ruszyli w dalszą drogę przez zaśnieżone ulice Nowego Jorku.

Żaden z nich nie miał pojęcia, że kilka złożonych pochoinnie obietnic kryło w sobie nieprawdopodobnie wielką moc, która miała pociągnąć za sobą nie tylko żal i smutek, ale przede wszystkim skryte głęboko w sercu chłopca pełne śmiałości marzenie.